



F. 4236

SŁEPIEC.

(FRAGMENT Z PAPIERÓW POŚMIERTNYCH).

Ajsa, która chętnie wikła plany bogów i dajmonów, wyprzedziła cichego syna Nocy, Thanatosa, i rzuciła znienacka garść cieniów Erebu w oczy młodzieńca.

Eurytos oślepl.

I oto siedzi teraz na złomie skały, oplątany przedwczesną nocą Hadesu, z oczyma nieruchomemi, które widzą tylko rzeczy minione.

Nie widzą zaś, że Fojbos-Apollo dawno już zdeptał białemi końmi sine łono Okeanu i miota złote strzały w włochaty lasem grzbiet Kallidromonu; nie widzą, jak boska Demeter rozsiała nowe kwiaty na złogach gór i w wądołach Lokrydy, jak obróciła jasne tarcze słoneczników ku Heliosowi, a purpurę maków wplotła w zielone włosy Chloi, jak porozwieszała świeże bluszcze na skałach, a winnice przetkała ciemniejącemi gronami z posocha Dionisosa, jak migocąca luska chyboce i drga na fali potoku, jak wreszcie tuż obok kołysze się ruchoma mozaika jasnych plam, przesianych przez splątanę gałęzie wiązu.

Tylko rzeźwość poranka, daleki oddech rytmicznie fałującego morza i powiew od gór uderza w twarz Eurytosa, a w uszy jego idą szmery i głosy, od szeptu traw aż do pluskania potoku i gwizdania drozdów górskich.

Azali wtedy oczy widzą mniej, gdy patrzą w cieniach nocy wśród harmonji szeptów i głosów w głąb własnej Psychy?...

Ale choćby ów cudny świat, którego niepodzielnym panem był teraz promiennolicy Helios, przeniknął był śladem tchnień, muskań i dźwięków do duszy Eurytosa, jako ten, co bywał tam i trwa, brakłoby mu zaiste najpiękniejszego z mijających widziadeł.

O kilka kroków od Eurytosa, w pobliżu pieniającego się strumienia stała dziewczka, oblana cała światłem słońca i cała niem przesiąknięta. Nie spięła rankiem włosów w zwykły węzeł Lokryjki, lecz puściła je wolno, że się mieniły i gorzały, jak fala miedziano-złota. Irys nie spiła jeszcze ros, które ciężkie i gęste leżały na trawach, więc dziewczyna podniosła chiton malinowy z podwójną przepaską i obnażyła do kolan nogi, krągłe posągowo w lędźwiach lecz grające żywemi muskułami

i sprężyste jak u łowczyni Artemidy. Szata, niedbale spięta na lewym ramieniu, obnażała krągłe ramiona Afrodyty, a gdy dziewczka prężyła je z otwartą ku słońcu dłonią, albo wyciągała za głowę, w spazmie przypomnień słodczy łoża i snów — lewa jej pierś wysuwała się poza kraj wełnianej tkaniny, pełna tęgością owocu jabłoni i zapięta u szczytu różanym kwiatem dziewiczej Heos. Wtedy na prawej stronie chiton wzdymał się promienisto, niby na obłym, rzeźbionym w marmurze paryjskim kaliksie, którym bogowie piją nieskończoną wiosną i młodość.

Nad prostem, helleńskim czołem wicherzyła się dziewczynie miedziana grzywa kędziorów, szaro-niebieskie oczy mrużyły się przed słońcem, a wilgotne malinowe usta, nabrzmiałe krwią młodą, rozchylały się nad zębami trachińskiej wilczycy.

Nie dziw, że złotolicy łucznik Fojbos-Apollo zasypywał ją pocałunkami, kładąc je na grzywie rozplątanych włosów, na ustach rozchylnych, na ramionach, na piersi obnażonej, na biodrach godnych Kypridy i kołyszących dwuspięty peplon, aż do bosych stóp, depczących maki i szałwje.

Boski łucznik chłonał ją a zarazem przenikał, tak, że raz tonęła w słońcu, jak rozproszona aureola, to znów gorzała niem, przeświecając różowo.

Teraz z przechyloną głową i broniąc się od natarczywych pocałunków Heliosa, w długim cieniu pinji przyglądała się, jak dwa młode kozłeta walczyły łbami, próbując rogów, i raz wraz uderzała w dłonie. Usta jej drgały dziecięcym rozbawieniem i wyrzucały krótkie wykrzykniki zachęty, przeplatane wybuchami radosnego śmiechu.

Eurytos, który dotąd siedział nieruchomy, łowiąc głosy poranka, przegiął się ku tej stronie, skąd płynęła fala śmiechu, i po twarzy jego przeleciał także błysk słoneczny.

— Głos masz dźwięczny, jak syrings, — rzekł.

Dziewczyzna zwróciła się ku niemu i pełna rozbawienia oraz przekory, głosem jeszcze zdyszany od śmiechu, ozwała się, trzęsąc przecząco głową:

— Nie, na Pana! nie lubię syrings, bo się skarży... Wolę już aulos i tympan, gdy takt wybijają chorei.

— Masz słodszy głos, niżli aulos, Kallista.

Przekora zaiskrzyła się znów w oczach dziewczyny.

Poczęła tedy stroić głos na nutę poważną.

— Trzy dni jesteś, woju, naszym gościem, a nie wiesz, że zwań mnie Eunoa.

— A jednak — tyś Kallista.

— Skąd wiesz?

Młodzieniec potrząsnął głową i rzekł tylko:

— Wiem.

Ale ona rzuciła okiem na tę twarz posągową, otoczoną ciemnymi włosami, na pierś, ramiona — i poczęła go drażnić.

— Nie wiesz... Oto teraz mogłabym rozwiązać przepaski oraz spinki na ramieniu i wejść tu do potoku, jako czynią dziewczęta lokryjskie w dnie upalne, a jednak Eros nie rozпалиłby w tobie iskry... Na Kypride, gotowam to uczynić, a nie ujrzysz więcej, niż ten płynący potok, w którym się przeglądam.

On zaś począł dyszeć i podnosząc jak szpony dłonie ku oczom, mówił szybko:

— Przez bogi, nie mów tego... Nie mów... Inaczej wydrę sobie oczy, które cię widzieć nie mogą.

A potem ją wyciągać ramiona, jakby chciał wstać i iść.

W oczach Eunoi zamigotał blask, który miała Kypris, kiedy drażniła Adonisa. Zbliżyła się do młodzieńca i rzekła:

— Dobrze, *ksen*, ale mi powiedz, jaką mnie widzisz?

Eurytos wsparł ręce na kolanach, opuścił głowę ku piersiom i mówił, jakby do siebie:

— *Ajsa moi!* Przywiodły mi cię teraz Hory, lecz kiedy Eros, zbratany ze Snem, rozpiął mi nad łóżem drażniące majaki, musiałem cię ujrzeć wtedy. Podobnaś Charytom. Widzę cię taką, jaką widział Adonis Kytajrę, gdy ją brał w uścisk, jaką widział Endymjon Artemidę, Dafnis — Chloe. I usta mi schną, a Eros obraca swą strzałę w mej piersi, gdy myślę o tobie... *O, moi!*...

Uśmiechnęła się dziewczyna, a gorące jej usta stały się jeszcze czerwiejsze.

— Zamilcz, *ksen!*... Jeszcześ gotów ściągnąć gniew bogini na mą głowę. Kytajra pasła zaprawdę trzody Adonisa, ale gdzie licej koźlarce lokryjskiej równać się z boską pasterką... Bacz zaś, abyś się nie zawiódł, gdy cię Megista ozdrowi.

— Zali tak mniemasz?

— Tak mniemam i nie mylę się. Megista zna czary tessalskie i nieraz pomagała ludziom. Powiada zaś, że źródlika gorące w górach i jej leki z pewnością wzrok ci przywrócą. Heraklesowe to źródła, a tyś, woju, z heraklidowego rodu, więc ci dwakroć skuteczne będą.

— Czemuż tedy nie spieszy się z leczeniem? Szczęśliw postokroć Aristodemos, któremu bogowie wzrok zachowali.

— Powiada Megista, że Aristodema mniej opętały złe dajmony,

niż ciebie. Zawczora na noc poszła nad rzekę Melan po zioła, które rosną tam na moczarach. Cierpliwy jeno bądź.

Teraz stała tuż przy nim, wsparłszy dłoń na jego ramieniu. Cień wiązu padał na nią, a Helios ledwie złotą nitką obwodził profil dziewczyny, wieszając jeno w rozchyleniu jej ust u warg wilgotnych większą jarzącą plamę, niby ślad jasnego pocałunku. Jego począł muskać po łędźwiach jej chiton, a wraz z oddechem łąki, przepojonym aromatyczną wonią melissy i macierzanki, szły ku niemu woń i ciepło jej ciała. Podniósł głowę, że zarysowała się w mozaice cienia jakby herm rzeźbiony w bronzie, na czole wezbrały mu żyły, a nozdrza poczęły trzepotać, jak ptaki skrzydłami. Nagle wyciągnął przed się ramiona i chciał ogarnąć niemi dziewczkę.

Eunoa, giętka jak trzcina, z której Pan wykręcał fletnie, uchyliła się od szukających ją ramion i stanąwszy znów w słońcu, gdzie rozbłysła podwójnym blaskiem Fojbosa i Heos, rzekła:

— Skoryś, *ksen*, do rzucania jabłek i nie skąpyś na nie, ale mnie ich niebrak. Rzucają mi je i Chrysander, który już wieńczony był za grę na fletni, i Kratides, odznaczony za walkę na pięści, i lekkonogi Lykon, który wiatr prześciga. Nie kwapię się jednak na nie, chociaż tamci nie ustępują ci postacią...

I obrzucała okiem młodziana, który wsparł jedną wyprężoną rękę o skałę, a drugą kierował w stronę jej głosu. Z pod krótkiego lakońskiego chitonu o barwie purpurowej wysuwały się nagie ramiona, nabrzmiałe grającymi muskułami, a jedna napół zgięta noga, opasana w kostce rzemieniem, drżała, jak napięta struna na łuku boskiego strzelca Apolla. Wzniesiona twarz z silnie zarysowanym podbródkiem, wijącą się grzywą kręconych włosów nad czołem, z siną pręgą nabrzmiałej żyły na skroni i zmarszczonymi brwiami nad nieruchomymi oczyma czyniła zeń posąg, godzien świątyni. Jakoż podobny był zarazem i do męża i do efeba, do Aresa i do młodzieńczego Hermesa, gdy wychnąwszy na skale ziemskiej, wraca do bogów olimpijskich.

Eurytos dyszał jeszcze męką Erosa i rzekł:

— *Zeu!* Gardzisz, *kale*, Pafją, ale i Artemis nie obroniłaby ciebie, gdybym cię ujął.. Zmógłbym cię...

— Nie zmógłbyś!... Lampur-by ci do gardła skoczył.

I spojrzała w kierunku dużego psa, oganiającego kozy.

Nagle od gór Kallidromonu odezwały się przenikliwe głosy, przecinając błękitne powietrze.

Eurytos drgnął.

— Sępy!... — szepnął, i twarz mu zastygła.

— Ciągną ku Pylom — ozwała się Eunoa, osłaniając dłonią oczy od słońca i patrząc ku górcom. — Całe stado... Ale i Megista wraca... Widzę ją, jak wychodzi z lasu.

Jakoż od lasu na zboczu gór ku dolinie posuwała się niska zgarbiona postać kobieca, osłonięta ciemną chlamydą, która tworzyła brudną plamę na zielonej szacie Chloi. Niewiasta szła, jako chodzą ludzie, gdy starość odejmie im sprężystość nóg i podetnie kolana. Idąc zaś, oganiała się laską psu, który doskakiwał do niej, ujadając zawzięcie.

Gdy doszła o tyle, że można ją było słyszeć, poczęła wołać bezdźwięcznym głosem:

— Pokłon ci, Eurytosie, synu Alkmena, a potomku boskiego Herakla!... I tobie, Eunoo, godna zostać kaneforą podczas najbliższych Lennajów! A odwołaj Lampura, bo ujada, jakby czuł za mną straszącą psy Hekate, albo smagające Eumenidy... Pójdiesz, szczenię Kerbera! Zali nie pamiętasz, żem ci nieraz dawała koziego sera?

Eunoa poczęła się śmiać.

— Nie bój się, *maia*, Lampur nic ci złego nie uczyni. Poszczeka tylko i przestanie.

— Bodaj mu kiszki poskręcało! Mało to ja się nasłuchałam perskiego i medyjskiego szczekania z tamtej strony Pylów.

— Toście i w Termopylach byli? — zagadnął Eurytos.

— Byłam. Bazileus przesyła ci pozdrowienie, zacny hoplito.

— Opowiadaj więc, *maia*, bośmy ciekawi.

Stara nie spieszyła się z odpowiedzią. Rzuciła kose, posępne spojrzenie na młodych i poczęła szukać załamka skały, miękko mchem wyłożonego. Zanim jednak siadła, zwróciła się do dziewczyny:

— Wpierw wytchnę. Szłam tu do was, jak Fajlos z Krotony, który na ostatnich wyścigach pityjskich wziął wieniec zwycięski. A starość dawno spętała mi nogi. Ty zaś, Eunoo, miast pytać, sięgnij po placek owsiany i ser, a prócz tego udój mi mleka, abym mogła uczynić libację bogom i ceniom podziemnym. Wieści nie bądź zbyt ciekawa. Przyjdą do was rychlej, niż pada grom z dłoni Kroniona.

A gdy dziewczyna spełniła jej życzenie, ułała mleka na ziemię i, namoczywszy placka w ciepłym jeszcze mleku, jąła go ssać bezzębnymi ustami.

Eurytos zaś począł się niecierpliwie i powtarzał:

— Więc cóż?... Więc cóż?...

Stara rzuciła znów ku niemu błysk posępny swych wypłowiałych oczu.

— Spieszno ci — rzekła — ujrzeć oblicze boskiego Apolla, a może i złotej Kypridy? Strzeż się jednak, by ci Gorgo nie zajrzała w roz-
warte oczy. Ziele przyniosłam.

— Nie o ziele mi teraz chodzi, jeno o wieści z Termopil...
Mów, matko, prędzej.

Megista ociągała się jednak.

— Widzieliście sępy? — ozwała się po chwili.

— Ciągnęły ku Pylom całem stadem — rzekła Eunoa.

EDMUND BOGDANOWICZ (BOŻYDAR).

F.4236

Bożydar (Edmund Bogdanowicz, ur. 1859, zm. 1911) był poetą o imieniu może niezbyt głośnem, ale rzetelnie cenionem przed kilkunastu laty wśród miłośników prawdziwej poezji. Ciężka praca nauczyciela i dziennikarza nie pozwoliła mu szerzej rozwinąć twórczości poetyckiej. Życzliwa krytyka wyrzucała mu w swoim czasie, że nie zatroskał się o zebranie swych liryk w osobnej książce. Toteż utonęły — obyż nie bezpowrotnie! — w rocznikach gazet i tygodników. — Utwór, którego fragment, z puścizny pośmiertnej Bożydara wydobyty, powyżej drukujemy, nie został, niestety, ukończony. Nie wahał się jednak ogłosić go tutaj — nietylko przez pietyzm dla zmarłego, zbyt szybko zapomnianego poety, ale także ze względu na istotny wdzięk tego okrucu (Przyp. red.).

F

4236